

ŁUPKI.

Wszystko, co kocham
odkładałam na półkę do ponownego przeczytania.
Lecz powracając stwierdzam z niepokojem,
że zapomniałem języka...

- Żona Z. była kurwą. Z tych najlepszych i najdroższych.

Krzysiek mówi, że pierwsze zdanie jest najważniejsze. Musi przykuwać uwagę. Mojemu pierwszemu zdaniu nie mam nic do zarzucenia.

Jeszcze w Łupkach dokładnie w ten sposób rozpocząłem jedną z opowieści z cyklu „życie me”. Pamiętam reakcję Olafa – parsknął śmiechem i długo nie mógł się uspokoić...

No nic. Żona Z. była kurwą i tyle. Ale o tym potem. Albo kiedy indziej.

Kiedy myślę o Łupkach, moim pierwszym skojarzeniem jest włochatość kierownika. Ostrzyżony na języka, cały był zaokrąglony na krawędziach i obrośnięty; w twarzy spod zarostu widać było tylko oczy i uśmiech. Dość sympatyczny jak na wilkołaka. Nie jest sprecyzowane, kiedy żerował, bo goście byli dla niego prawdopodobnie nietykalni. Ujawniał się poprzez menu – każdy z trzech posiłków był mięsny, i to w sposób zróżnicowany, oferta jak na konkursie masarskim w Kobierzycach: rolada i schab na śniadanie, wołowina na obiad, na kolację kielbasa w trzech smakach oraz pasztet... Codziennie. My byliśmy tzw. miastowi, delikatni i hodowani na omletach, stąd pewne wahanie przy schodzeniu do stołówki; na szczęście zwykle do kolacji podawano też odrobinę dżemu i masło. W śladowych ilościach, ale zawsze jednak...

Myślę, że ostatecznie nabrałem podejrzeń, kiedy na trzecim kolejnym wyjeździe po raz trzeci urządził nam ognisko i smażenie kielbasy. Nikt nie miał na to właściwie ochoty, co wyraźnie zostało mu przekazane: „Boże, znowu?” Ale on się uparł, samodzielnie znosił gałęzie na opał, targał kosz z wędliną, potem meldował, że już się pali, więc jakoś głupio byłoby w ogóle nie przyjść, toteż łąziłem i namawiałem, odwoływałem się do dobrego serca i poczucia przyzwoitości, słysząc od ludzi „dobra, zaraz przyjdę”. No i faktycznie, większość przychodziła, smażyli jakieś jedno pęto i jeszcze je jedząc wracali, a kierownik siedział potem przy ogniu do nocy sam. Żał mi go było; kiedyś podszedłem, żeby pogadać, otworzyć duszę, zapytać o życie i troski, ale milczał: jadł, grzebiąc patykami w ogniu. Trzeźwy, zawsze trzeźwy.

To zaskakujące, jak łatwo jest manipulować t. zw. wrażliwymi ludźmi poprzez poczucie winy. Zazdroszczę ludziom nieskomplikowanym. Ich świat jest prosty. Taka na przykład pani N. Bardzo, ale to bardzo nieskomplikowana kobieta. Niektórzy określili by ją jako prymitywną, ale to nie jest trafne, w końcu jakieś studia skończyła. A może? W każdym razie żał mi było patrzeć na starania kierownika, żeby nas pogodzić bez zajmowania stanowiska którejś ze stron. Wziął mnie potem na stronę i tłumaczył, że on musi, bo to gość, że prosi, abym zrozumiał, wprawdzie zgadza się ze mną i rozumie mnie, ale prosi, żebym ja jego też zrozumiał i tak dalej... Ciekawe, czy z panią N też tak rozmawiał...

A cała chryja wzięła się z tego, że pani N wparowała niezwykle dynamicznie do mojego pokoju około godziny 23 i bardzo głośno zażądała ciszy, dorzucając argumenty o rozwydrzonej młodzieży, wrzaskach, bieganiu po schodach i nie wiadomo co się dzieje w pokojach. Przyznam, że zgłupiałem: zastała mnie przy grze w szachy z Rafałem (szachy to dość cicha

gra), w pokoju obok Maciek grał na elektrycznej gitarze z wyłączonym wzmacniaczem, czyli bezgłośnie, dziewczyny się myły, reszta w pokojach szykowała się do snu. Zgłupiałem do tego stopnia, że na argumenty o konieczności odebrania mi prawa wykonywania zawodu nauczyciela byłem w stanie powiedzieć tylko spokojnym tonem: „aha... tak... porozmawiamy jutro... wie pani, my już idziemy spać.” Bardzo dobra taktyka – przypadkiem.

Rano pani N, kiedy podszedłem do niej przy śniadaniu, wrzeszczała dalej. I tak dalej, w sumie mało interesujące. Jakieś zrozumienie tej absurdalnej postawy nauczycielki (he he) dotarło do nas, kiedy dowiedzieliśmy się, że pani N jest siostrą tej innej N, którą uczeń próbował zarząbać na lekcji...

Postanowiłem ją śledzić.

W miasteczku obok (piękna fraza do piosenki: miasteczko obok) pomieszkiwał niejaki Józek. Traktowany był z szacunkiem; nie każda miejscowość poniżej 2 tysięcy mieszkańców może poszczycić się prawdziwym recydywistą po trzech odsiadkach. Józek miał nieokreślone związki z Ukrainą (Maciek śpiewał: „Jestem Józek z Ukrainy, moje wszystkie są dziewczyny!”, ale nie potrafił wyjaśnić, skąd ta Ukraina się wzięła. Najwyraźniej wiedza o miejscu narodzin Józka spłynęła na mieszkańców miasteczka którejś nocy, nagle i nieubłaganie).

Józek był niewysoki, żylasty i taki jakby niebieskawy w odcieniu, z przylizanymi włosami blond. Podobno był hydraulikiem, kiedyś.

Idąc za panią N o zmierzchu nie dostrzegłem początkowo przemiany. Słabo widziałem kłęb mroku, jaki tworzyła jej sylwetka; nie miał określonych kształtów, rozlewał się, łączył z czernią lasu, zanikał, by znów się pojawić ostrym kształtem na tle ciemniejszego nieba. Kiedy zeszła z asfaltu i zaczęła się wspinać kamienistą ścieżką w kierunku ruin zamku, z zaskoczeniem stwierdziłem, że idą dwie osoby. Nie zauważyłem zupełnie, kiedy ta druga się przyłączyła. Zmniejszyłem nieco odległość, ale chociaż słyszałem głosy, to jednak słów rozróżnić nie potrafiłem, za to zarys ich sylwetek stawał się coraz bardziej miękki i mglisty. Światło bladego o zmierzchu księżyca nadawało zieleni trawy niezwykłą, plastikową intensywność, przetykaną z rzadka rozmazanym różem jakichś kwiatów, być może łąbinu. Widok bardzo przypominał komputerową animację; pogłębiająca się nierealność sytuacji nie budziła jednak mojego niepokoju, przeciwnie, była w tym jakaś oczywistość, wrażenie zdjęcia maski, jakby łupczański pejzaż odkrył swoje prawdziwe oblicze.

Zbliżaliśmy się do zamku. Pani N jechała na szczurze, ogromnym oczywiście, zaś Józek, bo to on okazał się ową drugą postacią, truchtał obok.

- Dlaczego?
- Co dlaczego?
- Dlaczego Józek na niczym nie jechał?
- Pojęcia nie mam. Może dbał o kondycję? Tak czy owak wkrótce dotarliśmy na zamek.

To określenie jest bardzo na wyrost: jako tako zachowała się tylko jedna niska baszta, z platformą obserwacyjną na szczycie. Reszta budowli zamieniła się w sterty głazów, gdzieś tam tworzących zarysy ścian.

W pogłębiającym się mroku trudno mi było odróżnić pokrzywy i łopian od kamiennych rumowisk, a latarki zaświecić nie mogłem bez dekonspiracji. Toteż poruszałem się naprawdę powoli i początek rozmowy pani N z Józkiem, jaka toczyła się na platformie baszty, ominął mnie.

Ukryłem się blisko wjazdu i zacząłem nasłuchiwać.

- Paweł, przepraszam cię, ale będę musiała niedługo iść.
- Tak? Nie podoba ci się?
- Nie, fajne jest, ale mam mnóstwo do zrobienia na poniedziałek.
- Trudno...

Siedziała naprzeciwko z podkulonymi nogami. Uśmiechała się lekko i z aprobatą, wyczuwałem w niej jednak odrobinę drwiny, może rozczarowania. Oczywiście, nie musiała

iść. Powinna – wymówka oparta na cząstkowej prawdzie jest najlepsza. Ale nie musiała. Widocznie postrzegała stosunki między nami jako rodzaj gry i jej reguły stały się dla niej zbyt skomplikowane lub niezrozumiałe. Jak każda wcześniej i wszystkie potem dezorientowała ją sytuacja, kiedy słowa nie znaczą nic ponad to, co znaczą, a zachowanie, gesty, gra ciałem nie zmieniają ich znaczenia.

Poznałem ją przypadkiem, jak zawsze. Szukała kogoś do lekcji rysunku – ktoś ją do mnie skierował. Przeskok od dystansu do bliskich relacji odbył się niezwykle szybko – była między nami jakaś chemia, porozumienie, niemal od pierwszej chwili. Uwielbiam ten pierwszy okres znajomości, kiedy nic jeszcze nie wiadomo, kiedy wszystko jeszcze może się stać między dwojgiem ludzi... Poznawanie się, dotykanie słowami, odsłanianie się – najpierw ostrożne, potem coraz odważniejsze, aż do pełnej szczerości, kiedy wydaje się, że można jej ufać całkowicie... No i wyobrażenia, tworzenie obrazu tej drugiej osoby; składanie pojedynczych min, słów, gestów i spojrzeń w jakąś całość jest dla mnie nieodmiennie fascynujące i uwodzące.

No właśnie, uwodzące. Wcześniej lub później nieuchronnie pojawia się podtekst erotyczny. I wtedy wszystko się kończy... Bo ja z osobą która dopiero poznaję, a która mnie fascynuje, nie chcę tego, nie tak szybko, to znaczy chcę, w końcu jestem normalny, ale blokuję to jeszcze, bo zbyt dobrze wiem, jak łatwo jest przestać mówić prawdę, przestać być prawdziwym, a zacząć grać. Bo w pełni szczerze słowa powinny brzmieć: „Wiesz co? Mam wielką ochotę się z tobą przespać...” Aż tak szczerzy rzadko bywam. Albo – trafniej – już zbyt mi na niej zależy, a za mało jeszcze, żeby ją zacząć zdobywać.

Tym razem też było jak zawsze – niezrozumienie z jej strony, zawód, nie okazany w słowach, tylko w narastającym dystansie. Jednoznaczne wycofanie się, przy jednoczesnym zaprzeczaniu temu.

Och, kobieto – dlaczego tak wiele z was stara się od razu sprowadzić relację z nami na płaszczyznę seksualną? Zaprzeczać temu będziecie oczywiście zaciekle, wciąż jednak stosując makijaż, błyskając dekoltem, kontrolując ruch... To taki prosty przekaz: jeszcze nie wiem – nigdy – może. Albo - pokazując to głodnym wzrokiem – tak, chcę!...

złoty promyczku, zwierzątko płochliwe,
jeszcze cię nie określiłem,
jeszcze uciekasz przez Ogrody
Pamięci, gdzie cię wpuściłem,
i gdzie buszujesz, szczególnie nocą,
szerząc spustoszenie w przezroczystych kwiatach,
tych niby-irysach, których zapach
określa – ciężko – przyszłość.

Jeszcze nie wiem? „Postaraj się, proszę. Spraw, żebym uwierzyła w twoje kłamstwa.”

Nigdy? „Postaraj się, proszę. Spraw, żebym uwierzyła w twoje kłamstwa. To nic nie zmieni, ale może zmieni...”

Może? „Postaraj się, proszę. Tak pięknie kłamiesz...”

Tak? „No, chodź już, chodź!”

Przebywanie z kobietą przypomina jazdę figurą na lodzie. On, solista, robi cuda, a ona stronniczo sędziuje. No tak, zaryłś twarzą w lód dwa razy, ale całość miała wdzięk, więc... 5,8?

Ciało. Wyśniony cel. Piersi i wagina. Światło uśmiechu...

Jestem całkowicie bezradny wobec piękna.

Siedziała naprzeciwko z podkulonymi nogami. Wiedziałem o niej tak wiele, poznałem jej życie, marzenia, wyczuwałem nastrój, ale tego jednego nie wiedziałem: nigdy? Może? Tak? Nie wiem?

Możliwe, że nie chciałem wiedzieć.

- Wiesz co? Wkurzyłeś mnie.
- Czym?
- To przecież faceci wciąż się gapią na piersi i krocze!
- Ja też?
- A co, nie?
- No... Dobra, nie przemyślałem tego...
- A poza tym to jest biologia, tak po prostu jest.
- Już dobrze! Zmieńmy temat, co?
- W porządku... To z czym jeszcze kojarzą ci się Łupki?
- Łupki bardzo kojarzą mi się z moim wierszem.
- Jaki jest ten wiersz, który bardzo kojarzy ci się z Łupkami?
- To jest wiersz zatytułowany „Zwierzątko”.
- Oczywiście...
- Oczywiście.

*

Kwiaty. Proste meble.

Powietrze. Świerszcze – świerszcze.

Południe. Oset. Ryby ciemne.

Anarchia. Dziecko. Leżak w trawie.

Trzydzieści lat do śmierci.

*

- To tylko krótki fragment.
- Ten wiersz napisałeś w Łupkach?
- Tak. Pisałem kilkanaście godzin bez chwili przerwy. Agata dość lekceważąco wyraziła się o mojej poezji, więc chciałem jej coś udowodnić. Po napisaniu poprosiłem Filipa, w końcu uznanego poetę, żeby się przy niej wyrażał o tym wierszu nadzwyczaj pochlebnie. Zrobił to bez gadania... Wtedy jeszcze umieliśmy rozmawiać. Ale wróćmy do opowieści.

W Łupkach, pod lasem, żyła sobie pewna wdowa, zdecydowanie niemłoda już. Wdowa nazywała się Eulalia i miała krzywy zgryz. Dolna szczęka wystawała jej jak szuflada na dobre cztery centymetry.

Nie była lubiana przez sąsiadów. Bali się jej, bo miała na nosie brodawkę w kształcie budzika z dwoma włosami udającymi wskazówki. Stąd przezwisko „Zegarynka”. Lubiła też potańczyć sobie nago przy księżycu, po rosie. Tego bano się najbardziej.

Eulalia była matką Józka i najprawdopodobniej kochanką pani N.

Kiedy pani N i Józek knuli na baszcie przewrót...

- Jaki przewrót?
- Nie mówiłem?
- Nie.
- Kiedy ich podsłuchiwałem, właśnie rozważali, czy zarżnąć dla postrachu akordeonistę, czy też porwać sołtysa jako zakładnika...
- Jakiego znowu akordeonistę?!

- A co, zbyt skomplikowane?
- Nie, tylko trochę się gubię...

Siedziała naprzeciwko, a bluzka odchyliła się lekko, tak że wyraźnie zobaczyłem jedną pierś i krawędź sutka. Nie wiedziałem, co o tym myśleć: z jednej strony trudno sobie wyobrazić, żeby kobieta nie była tego świadoma, z drugiej zaś jakaś minimalna możliwość przypadku jednak istniała, więc na wszelki wypadek postanowiłem udawać, że nic nie widzę.

Idiota.

- Naprawdę musisz już iść? – zaryzykowałem.
- Tak, przepraszam cię, ale mam mnóstwo pracy...

Akurat. Trzeba było zareagować na tę bluzkę...

- Kiedy się zobaczymy?
- Nie wiem, zadzwonię.
- Zostań jeszcze, na papierosa.

Akordeonista mieszkał w malutkim domku, może trzydzieści metrów kwadratowych, z piętrem. Był już stary, brodaty i zaniedbany jak menel. Siedział zwykle w otworze drzwiowym (drzwi nie było) na piętrze, z dostawioną od zewnątrz drabiną – widać schody w środku się zawaliły. Na ziemi koło drabiny leżał pies, wilczur, okropnie sparszywiały. Akordeonista nigdy się na nikogo nie patrzył; wzrok miał skierowany gdzieś w dal i w rozmarzeniu grał na akordeonie tęskne melodie. Nigdy nie złapałem z nim kontaktu wzrokowego, chociaż miałem wrażenie, że widzi wszystko.

Skoro już wiesz, kim był akordeonista, przejdę do dalszej części opowieści.

Knowania Józka z panią N naprawdę mnie przeraziły.

- Paweł... Idę... zaraz mam autobus.
- Tak. Trudno. Skończę kiedy indziej.

Poszła. Rzeczywistość natychmiast się spłyciła, zamknięta ścianami pokoju. Gdzieś znikł zapach wakacji, wiatr, szum potoku, nocne rozmowy na huśtawce pod sosnami.

Czy to się wydarzyło? Nie wiem, co jest prawdą. Nie wiem, czy z kimś w ten sposób kiedyś rozmawiałem, chyba nie. Odkąd zobaczyłem dyplomowe prace Kamy, a wśród nich jej zdjęcia z dzieciństwa, a na nich jej dom, który tak dobrze pamiętam, a który okazał się zupełnie, całkowicie inny – niczego nie jestem pewien. Pamięć jest zdeformowana pragnieniami, intencjami, jest tylko opowieścią, czasem barwną, czasem nudną, czasem przykrą, a za każdym razem inną, bo ktoś inny jej słucha.

Jeździliśmy do Łupiek przez siedem lat, a wszystkie wspomnienia są wyrywkowe, fragmentaryczne. Może dlatego, że tyle się wtedy działo? Pamiętam psa, którego nazywałem Tramwaj, bo uwiązany był do długiego druta rozciągniętego wzdłuż podwórka rodzajem pantografu. Czy naprawdę miał pod ogonem wymalowaną pacyfkę? Pamiętam piosenki i koncerty i mój wstyd, że nie umiem lepiej grać. Ludzi, którzy byli uzasadnieniem mojego życia. Biustonosz, do którego żadna dziewczyna nie chciała się przyznać, więc pewnie należał do któregoś z chłopców – może miał być prezentem? – i który został na płocie. Niesamowitą sztukę Bartka „Lebab”. Ten powrót autobusem (bo wtedy jeździliśmy na plenery autobusem), podczas którego kierowca zabrał jakąś babinę z ogromną brodawką na nosie. Babcia namówiła go na skrót (wygodny dla niej), więc jechaliśmy prawie godzinę polami, w lęku, że autobus zaraz się rozsypie, bo droga nadawała się tylko dla traktorów. Takie safari...

Taniec nocą na zamku, przy płonącej benzynie.

Obraz Maćka „Łupki z lotu ptaka” i jego ponadgodzinne starania, żeby namalować na nim rozkład jazdy na przystanku autobusowym. Malowany rozkład miał pół na pół centymetra.

Kubę D malującego ściśle według przepisu, który mu podyktowałem.

Rozmowy z Beatą do piątej rano i moje prośby, żeby wreszcie poszła spać.

To wszystko jest już nieważne, wiesz?

- Dlaczego?
- Bo nie umiem wracać do tego, co było. Nie chcę nostalgii.
- Trzeba żyć tym, co jest teraz, tak.
- Nie poszłaś?
- Nie...
- To może coś zrobimy? Na przykład – słuchowisko? Dawno nie robiłem słuchowiska...
- Dobrze, ale może nie teraz...
- To ja jeszcze coś opowiem.
- Musisz?
- Muszę. Chodź, przytul się do mnie...

Tam, gdzie las wyrasta czarny,
 Tam, gdzie tli się "Popularny",
 Gdzie Tereska, panna tęga,
 Gdzie karp, okoń, płoć i wzdrenga,
 Tam, gdzie Heniek, traktorzysta,
 Rzuca, kiedy wykorzysta,
 Gdzie jest wino bardzo tanie,
 Gdzie przystanek na żądanie –

żyła sobie babcia Eulalia. Okropna, brzydka, złośliwa. Hodowała pelikana o imieniu Bobo. Pelikan nudził się okropnie z babcią, bo jej syn przestał ją odwiedzać – zaaresztowano go na zamkowej wieży za kradzież roweru Ukraina (jakiś akordeonista na niego doniósł) i dostał jako recydywista trzy lata, a sporadyczne wizyty u Zegarynki pewnej wyjątkowo głupiej pani N. sprowadzały się tylko do szybkiego seksu, zupełnie dla pelikana nieinteresującego.

Z tych nudów zaprzyjaźnił się z nieliczną rodziną myszy. Lubił patrzeć, jak myszy robią różne akrobacje; szczególnie podobało mu się, kiedy ustawiały się w piramidkę i ta najwyżej robiła skakankę z własnego ogonka.

Kiedy nadeszła więc pierwsza powódź, wyratował je, zabierając w dziobie na zamek. Myszy w dowód wdzięczności udekorowały go różowym sznurowadłem.

Przy drugiej powodzi zaniósł je do piwnic klasztoru, koło zamku. Tam poznali mumię mnicha i też go udekorowali różowym sznurowadłem. Mnich – jako upiór – zaczął nachodzić kierownika ośrodka i co noc wiązał mu na szyi to sznurowadło. Rano kierownik je zdejmował, a mnich w nocy wyciągał sznurowadło z kosza i wiązał na szyi w kokardkę. Jak się później okazało, znakował go jako nietykalnego i dlatego ośrodek przetrwał wszystkie cztery trzęsienia ziemi.

Kiedy w zamek pierdolnął meteoryt, co było ewidentnie ostatnim, siódmym znakiem, wszyscy uznali, że nie ma co ryzykować i wyprowadzili się nad morze.

A żona Z naprawdę była kurwą. Ale to inna opowieść, nie z Łupek.